

Kornbluth Cyril Mary

Kornbluth Cyril Mary



Cyril Mary Kornbluth, (ur. [23 lipca 1923](#), zm. [21 marca 1958](#)) – [amerykański](#) pisarz [science fiction](#).

Używał pseudonimów Cecil Corwin, S.D. Gottesman, Edward J. Bellin, Kenneth Falconer, Walter C. Davies, Simon Eisner, Jordan Park, Ivar Towers.

Urodził się w [Nowym Jorku](#), mieszkał w [Chicago](#). W czasie [II wojny światowej](#) służył w [armii amerykańskiej](#) w [Europie](#), został odznaczony brązową gwiazdą za udział w walkach podczas [ofensywy w Ardenach](#).

Kornbluth zaczął pisać w wieku piętnastu lat. Debiutował w kwietniu [1940](#) w piśmie *Astonishing* opowiadaniem *Stepsons of Mars* (ukazało się pod tytułem *Ivar Tower*), napisanym wspólnie z [Richardem Wilsonem](#). Natomiast pierwszym opublikowanym samodzielnie opowiadaniem było *King Cole of Pluto*, które ukazało się w maju 1940 w *Super Science Stories*. Jego opowiadanie *Czarna walizeczka* otwiera pierwszy polski zbiór opowiadań anglo-amerykańskich [Rakietowe szlaki](#).

Często pisywał wspólnie z innymi autorami. Najczęściej z żoną, [Judith Merril](#), pod pseudonimem *Cyril Judd*, a także z [Frederikiem Pohlem](#). Właśnie z Pohlem napisał swą najśłynniejszą powieść [Handlarze kosmosem](#) (*The Space Merchants* [1952](#)).

Kornbluth zmarł w wieku 34 lat na [atak serca](#).

Dziewiczy asteroid

James „Bunny” Coogler obudził się w dzień pogrzebu swego ojca z dziwnym uczuciem, że w jego sypialni zebrał się cały tłum. Służący, Ohara (z tych Oharów z Shimanoseki, żeby nie mylić ich z irlandzką gałęzią rodziny), ciągnął go za rękaw, powtarzając:

- Pan się obudzi, panie Bunny! Och, jakie ważne dzentermeny przyszyły pana zobaczyć! Bunny zaczął macać po nocnym stoliku w poszukiwaniu swych ciemnych okularów, za którymi mógłby ukryć przekrwione oczy. Ohara wcisnął mu je na nos, po czym szybko podetknął szklaneczkę z surowym żółtkiem rozbełtanym z sokiem pomidorowym, wetknął mu w garść tabletkę bromuralu, a na stoliku postawił filiżankę z kawą zaprawioną brandy. Amplituda codziennych porannych drgawek Bunny'ego zaczęła szybko maleć i wkrótce mógł już przez ciemne szkła dostrzec zarysy pokoju.

- Dzień dobry, panicz Coogler - powitał go jakiś tubalny głos. Zarys sylwetki pasował do J.G. Barsaxa, współnika ojca w założonej ostatnio firmie. Zaraz też rozległ się chóralny pomruk trzech innych słoniowatych postaci.

Byli to panowie: Gonfalonieri - prezes First American, Witz - właściciel Diversified Limited oraz McChesney - szef Southern Development Inc. Gdyby w tej chwili w pokoju eksplodowała jakaś bomba, świat by utracił całą Radę Zarządzania i Własności o wartości co najmniej osiemnastu miliardów dolarów.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca - warknął Barsax. - Czy możemy usiąść? Niewiele zostało nam czasu do pogrzebu, musimy więc przekazać panu krótką instrukcję.

- Pan Sankton powiedział mi już dokładnie, co mam robić - odezwał się Bunny. - Po słowie „Amen” mam wstać, poprowadzić procesję do katafalku i dalej, nawą główną do bramy...

- Nie o to chodzi. Wiemy, że zapoznano pana z przebiegiem ceremonii pogrzebowej. Przyszliśmy w sprawie instrukcji obracania finansami, panie Coogler, gdyż stał się pan teraz bardzo bogatym młodzieńcem.

Bunny zsunął okulary z nosa.

- Naprawdę? - zapytał niepewnie. - Nie wierzę. Ciągłe nachodzą mnie ci ludzie ze spółki, nakazując płacić dwadzieścia tysięcy rocznie...

- To przeszłość - wtrącił Gonfalonieri. - Już ich pan nie zobaczy, sprawa została załatwiona. Jest pan jedynym spadkobiercą majątku wartego, lekko licząc, trzy i pół miliarda dolarów.

Ohara pospiesznie nalał drugą filiżankę kawy zaprawionej brandy i wetknął ją w garść Bunny'emu.

- Tak więc - odezwał się cicho drobny Witz - musimy przekazać panu pewne nienaruszalne zasady, których przestrzegania będziemy bacznie pilnować. - Bunny zwrócił uwagę na zaakcentowaną liczbę mnogą, nie wiedział jednak, czy wynika ona ze sposobu wypowiedzi charakterystycznej dla rodzin królewskich, wydawców książek czy dostojników kościelnych. Szybko przedstawiono mu ścisły regulamin postępowania.

Po pierwsze: Nigdy nie wolno mu się zdradzić, że jest bogaty; może używać tylko zwrotu „przy moich niewielkich dochodach” podkreślonego obojętnym wzruszeniem ramion.

Po drugie: Nie wolno mu, w żadnych okolicznościach, nikomu i niczego ofiarować. Poproszony o jakąkolwiek darowiznę, musi odpowiedzieć stanowczo, że tej jedynej prośby nie jest w stanie spełnić, że ta kolejna wspianiałomyślna ofiara mogłaby go doprowadzić do ruiny.

Po trzecie: Jeżeli cokolwiek otrzyma, począwszy od taniego cygara, a skończywszy na czeku na milion dolarów, musi przyjąć podarunek bez podziękowań, stwierdzając tylko kwaśno, że taki prezent jest nie na miejscu.

Po czwarte: Musi traktować swój kapitał inwestycyjny jak moralny odpowiednik koprofagii i nie wolno mu poświęcać życia na angażowanie się w prowadzenie interesów, gdyż ta działalność zarezerwowana jest wyłącznie dla określonej warstwy dusigroszów.

Po piąte: Jeśli będzie myślał o ożenku, musi wybrać kandydatkę spośród „Nas”.

- To znaczy spośród kogoś z was czterech, panowie? - zapytał Bunny. Ledwie opanował dreszcz grozy na myśl o najstarszej córce Barsaxa.

- Nie - odparł Witz. - Spośród „Nas” w szerszym sensie. Nauczy się pan rozpoznawać właściwych ludzi i w końcu rozwinie w sobie instynkt rozróżniania pospolitych milionerów od osób o prawdziwej wartości.

- I to chyba wszystko - rzekł Barsax. - Spotkamy się na pogrzebie, a później będziemy pana uważnie obserwowali, Coogler. - Spojrzał na zegarek. - Idziemy, panowie.

Bunny miał żyłkę do urządzeń mechanicznych, dlatego spodobało mu się Muzeum Stłumionej Inwencji urządzone przez Barsaxa w jego posiadłości w Karolinie. Stary kustosz dreptał za nim, udzielając obszernych wyjaśnień.

- Raczy pan zwrócić uwagę na ten gaźnik, nazwany „sto kilometrów na jednym litrze”. Kiedy go skonstruowano, w roku 1936, byłem jeszcze aktywnym agentem terenowym. Sam podążyłem śladem głośnego zgłoszenia patentowego do małego miasteczka w stanie Iowa. Stoczyliśmy ciężką batalię, żeby ukryć ten wynalazek. Może mi pan wierzyć... A tutaj, w sąsiedniej gablocie, jeśli pan pozwoli, mamy dowody kolejnych zmagani, do jakich zmuszono nas w niecałe dwa lata później. Proszę, oto słynne Benzynowe Kapsułki. Zademonstruję, jeśli pan pozwoli.

Uradowany starzec przytaszczył wiadro wody, wrzucił jedną zieloną tabletkę, a płyn zapienił się silnie, zadymił i po chwili zamiast wody w wiadrze była stuoktanowa benzyna.

Wieczna Zapałka okazała się interesująca, Dwucentowa Połudwica smakowała wyśmienicie, natomiast Maść Wyszczuplająca niemalże w jednej chwili rozpuściła centymetrową warstwę tłuszczu na brzuchu Bunny'ego.

- Niech Bóg błogosławi tę działalność - mamrotał kustosz. - Bo cóż byłby za pożytek z udostępnienia ludziom tak działających wynalazków? Korzystaliby z nich tylko do pewnego momentu, do chwili, kiedy przestaliby tego potrzebować.

Poszli dalej.

- Ten okaz nie jest jeszcze całkowicie zduszonym wynalazkiem. Staramy się go dostosować. Może za jakieś pięć lat uda się go tak przerobić, żeby wyglądał na produkt wart pięciu tysięcy dolarów, wtedy wypuścimy go na rynek.

Stali właśnie przed kolorowym telewizorem, który dawał obraz trójwymiarowy. Serce urządzenia stanowiła kieszonkowa bateryjka, jakaś rurka wygięta w kształt litery C i pojemniczek z sodą oczyszczoną.

Bunny odwiedził także olbrzymią stację hodowli szkodników, ukrytą głęboko w górach, gdzie rozmnażano muchy, myszy, karaluchy, komary, kwaciaka bawełnianego, gnilca wiązowego oraz wirusy mozaiki tytoniowej, które, po osiągnięciu odpowiedniego etapu rozwoju, kurierzy rozwozili po całym świecie. Małomówny młodzieniec z Connecticut, który kierował tym gigantycznym kompleksem, wyjaśnił mu:

- Trutka na szczury doprowadziła do ruiny wytwórców pułapek na myszy. Ludzie powinni mieć choć trochę wyczucia. Z kolei odkrycie DDT niemal wykończyło cały przemysł produkcji

pestycydów, a jest w nim zatrudnionych dwieście tysięcy osób. Czy ktoś o tym pomyślał? Skądże! Dlatego wybieramy gatunki odporne na DDT i rozwozimy je po całym świecie.

W końcu Bunny odkrył także u siebie ten instynkt, o którym mówił Witz. Kiedy poznawał kolejnego właściciela teksańskich pól naftowych, bez trudu stwierdzał, że jego nerwowa wesołość oraz chełpliwe przechwałki na temat własnego bogactwa godne są jedynie pożałowania. Kiedy zaś pewnego dnia w posiadłości Gonfalonierieg w Baja California spotkał cichego, spokojnego faceta o nazwisku Briggs, nie miał żadnych wątpliwości, że on jest jednym z „Nas”. Nie zaskoczyło go więc, gdy się dowiedział, że Briggs jest właścicielem wszelkich możliwych patentów dotyczących wody pitnej.

To właśnie Briggs w rozmowie na osobności jako pierwszy poruszył pewien ważki problem. Najpierw poczęstował Bunny'ego cygarem za tysiąc dolarów (specjalny tytoń uprawiany był na sztucznej wyspie zbudowanej pośrodku Pacyfiku, w miejscu o idealnej do tego celu temperaturze, wilgotności oraz kierunku wiatrów), po czym rzekł:

- Najwyższa pora, żeby znalazł pan sobie żonę.

Bunny, który wówczas nie potrafił przeczytać żadnego miesięcznika nie uśmiechając się czule i z rozrzewnieniem do najpiękniejszych modelek z reklam, był całkiem innego zdania.

- Nie rozumiem dlaczego, Briggs - mruknął. - Ja całkiem nieźle się bawię. Nigdy nie miałem szczęścia do dziewczyn, ale teraz jest zupełnie inaczej. Szkoda gadać przy... - tu wzruszył obojętnie ramionami - moich niewysokich dochodach nic mnie to nie kosztuje. Dobre, co? Jak miałem kilkanaście lat i brakowało mi forsy, musiałem dziewczynom fundować kolację, kupować kwiaty. Teraz jest zupełnie inaczej, to one mi kupują prezenty, platynowe zegarki... Mam ich już pełną szufladę. Ale zgodnie z zasadami muszę je nadal przyjmować.

- Wszyscy przez to przechodziliśmy - odparł Briggs. - Daj mi znać, kiedy cię to nudzi.

- Dobrze. Obiecuję.

Następne sześć miesięcy Bunny spędził w Hollywood, gdzie najpiękniejsze dziewczęta rywalizowały o jego względy, obsypując go takimi prezentami, jak kurczę pieczone wraz z kompletem sztucców z czystego irydium. Pewna czarująca dama, która nagrała swą pierwszą płytę w 1934 roku, podarowała mu piękną, ręcznie grawerowaną, zabytkową szablę pochodzącą z epoki wypraw krzyżowych. Takie właśnie drobiazgi urozmaicały mu... monotonię.

Usiadł nagle na obitej srebrzystymi norkami kanapie, aż leżąca obok w jedwabnej pościeli blondynka jęknęła cicho przez sen.

- Monotonia... - powtórzył Bunny dramatycznym szeptem. - Bezgraniczna...

Postanowił wracać do domu, do Ohary, a pakując się nie zapomniał o swoim najnowszym prezencie: połączanym dziadku do orzechów, wysadzonym brylantami, o rączkach pokrytych futrem lamparciemu embrionu.

Ohara, chcąc go pocieszyć, sięgnął do nieprzebranych rezerw mądrości Orientu:

- Panie Bunny, kiedy musi być monotonię, to czemu nie ma być ślicznie monotonię?

Skutek był żaden.

- Niech pan się zabawi, żeby zapomnieć o monotonii - podsuwał Ohara. - Na przykład można wydać parę miriony dorara w słynne uzdrowisko, choćby takie Shmirton w Ohio. Czy wie pan, jak nieszczęśliwy był pan Nickey, gdy zbudował hotel i musiał go nazwać Hote Hirton w Shmirton?

To także nie przyniosło efektów.

- Ohara... - mruknął jeszcze bardziej dramatycznie Bunny - oddałbym... - tu wzruszył obojętnie ramionami - te moje niewielkie dochody, byle tylko się tak nie nudzić do końca życia.

Służący, którego orientalne rysy zawsze tworzyły maskę obojętności, skrzywił się nagle. Otrzymał wyraźne rozkazy i wiedział, jak straszliwe będą konsekwencje takiego zachowania jego pana.

Godzinę później Bunny położył się do łóżka, wyjątkowo sam, natomiast Ohara pobiegł do telefonu i nakręcił zastrzeżony nowojorski numer.

- Mówi Ohara - szepnął do słuchawki. - Pan Bunny mówił o rozdawaniu pieniędzy, wszystkich swoich pieniędzy.

Odpowiedział mu głos z silnym, brytyjskim akcentem:

- Dziękuję, Ohara. Dla twojego dobra, oczywiście, mam nadzieję, że nie przekazałeś tej informacji za późno. Zawsze się łudzę, że nie trzeba będzie nikogo skazywać na Śmierć Tysiąca Nacięć. Można by napisać całą książkę o losach Numeru Trzysta Dwudziestego Ósmego albo też Sto Pierwszego...! No cóż, nie będę ci zawracał głowy wspomnieniami. - Odłożył słuchawkę.

Już po kilku minutach stojący samotnie w dolinie dom został otoczony przez doborową jednostkę wytrawnych zabójców, Czwarty Oddział Plutokratycznych Sił Powietrznych i Desantowych. O świcie Bunny znajdował się już pod silną eskortą, w drodze do posiadłości Barsaxa w Karolinie. Ocknął się w znanym sobie pokoju gościnnym, naprzeciwko Muzeum Stłumionej Inwencji.

Obecni przy tym panowie Witz i Briggs oznajmili mu z kamiennymi twarzami:

- Złamał pan zasady, panie Coogler. Powiedział pan, że istnieje coś, co pan ceni wyżej niż pieniądze. Musi pan odejść.

- Zaraz - wymamrotał Bunny. - To nieporozumienie. Ożenię się z pańską córką! Poślubię obie pańskie córki! Tylko mnie nie zabijajcie!

- Moje córki to porządne, nienawidzące pieniędzy dziewczęta, które nie mają nic wspólnego z takim brudnym plutofobem jak pan, panie Coogler - odparł spokojnie Witz. - Gdyby tylko pański ojciec zdołał przed śmiercią przepisać swoje aktywa na rzecz naszej fundacji... Dzięki opatrności nie dożył tego straszliwego dnia. Nikt jednak nie ma zamiaru pana zabijać, panie Coogler, nikt bowiem nie czuje się w mocy wydać wyroku śmierci na miliardera, gdyż nie jesteśmy zwierzętami czy pospolitymi ludźmi. Zostanie pan wysłany na kwarantannę na Dziewiczy Asteroid.

Dla Bunny'ego brzmiało to równie przerażająco, dopóki nie zaprowadzono go do muzeum i nie wyciągnięto z magazynu jednosobowego statku kosmicznego, który w roku 1923 wynalazł Herr Rudolf Grenzbach z Czerniowic na Górnym Śląsku - jego ciało odnaleziono jesienią tegoż roku na Dolnym Śląsku.

Oficerowie Czwartego Oddziału PSPiD pomogli mu wejść do przypominającego bombę urządzenia, nie zwracając uwagi na protesty i przekleństwa Bunny'ego. Wkrótce też odpalono raketę i wysłano go w podróż.

Cztery lata później, podczas któregoś spotkania z Briggssem, pan Witz wrócił do tej sprawy.

- Może wystarczająco go już przestraszyliśmy? Skontaktujmy się z nim przez radio. Zobaczymy, czy wyleczył się już z melancholii i może wrócić na Ziemię.

Korzystając z kolejnego eksponatu Muzeum Stłumionej Inwencji, szybko nawiązali łączność z asteroidem.

- Panie Coogler - rzekł Briggs do mikrofonu. - Tu mówi Briggs. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy odzyskał pan już zdrowy rozsądek i jest gotów zająć miejsce w społeczeństwie... naszym, rzecz jasna.

Z głośnika doleciał dość wyraźny głos Bunny'ego:

- Zaraz, co to takiego? Nie, nie teraz, za sekundę. Skąd dolatuje ten głos? Czy pan mnie słyszy, Briggs?

- Słyszę pana.
- To wspaniałe! Kolejny wynalazek, prawda?
- Tak - mruknął Briggs. - Chcemy się dowiedzieć, panie Coogler, czy odzyskał pan już równowagę duchową i jest gotów wrócić na Ziemię.
- Na Ziemię? - odparł zdumiony Bunny. - Nie, dziękuję. To zbyt ciężkie. Świetnie się tu bawię. Nawet nie wiecie, jak bardzo im byłem potrzebny. Kochają mnie tutaj za to... że jestem, a nie za cholerne pieniądze. Dwakroć przeklęte pieniądze, mówiąc szczerze!

Briggs z pobielającą twarzą przerwał połączenie.

- Jemu się tam podoba - zauważył Witz.

- No i dobrze, niech sobie gnije.

Stary kustosz, który przysłuchiwał się tej rozmowie, wtrącił nagle drżącym głosem:

- Na Dziewiczym Asteroidzie? Tam się nie gnije. Nie wiecie panowie, skąd się wzięła ta nazwa?

- Nigdy się tym nie interesowałem parsknął Briggs. - Ale jak już zacząłeś, to możesz dokończyć.

Kustosz skłonił się nisko.

- Asteroid nazwano Dziewiczym, ponieważ jest zamieszkały przez dziewice i do tego najgorsze, bo wieczyste. Dowódcy Plutokratycznych Sił Kosmicznych utrzymują, że nigdzie indziej nie spotkali się z czymś podobnym, ani na Marsie, ani na Kallisto... To najgorsze diablice, nie do zdarcia!

Briggs i Witz popatrzyli na siebie. Dopiero po dłuższej chwili Witz mruknął w zamyśleniu: - Bunny... Bunny, szczęściarz.

Przełożył: Andrzej Leszczyński